

KOMEDIA

z BECKETTEM

Wariacje eseistyczne



WYDAWNICTWO
UNIwersYTETU
ŁÓDZKIEGO

MACIEJ SOBCZYK

3

MACIEJ SOBCZYK

MACIEJ SOBCZYK

Konieczność wypowiedzenia wydaje się charakterystyczna dla człowieka; nie tylko samo powstanie mowy, ale również istnienie sztuki zmusza do zauważenia, jak istotny to czynnik w procesie kształtowania świadomości zarówno jednostki, jak i społeczeństwa. Nie ma znaczenia, czy wyrażanie stanów wewnętrznych jest przyjemne czy nie; zamknięte we wnętrzu nie istnieje w pełni i, aby zaistnieć, musi zostać wydobyte na powierzchnię.

Blogosławiony ten, co nie mając nic do powiedzenia, nie obleka tego faktu w słowa¹”. Łatwo powiedzieć, ale któż nie ma potrzeby wyrazu; któż, nawet podświadomie, w zupełnej samotności, w najbardziej odosobnionym i prywatnym miejscu, nie prowadzi dialogu wewnętrznego? Umysły troglodytów, wypełniających ulice współczesnych miast, prawdopodobnie wolne są od refleksji; jednakże bez trudu znajdują oni przestrzeń dla ekspresji swych wrażeń wewnętrznych np. na nowych elewacjach, gdzie umieszczają istotne ich zdaniem informacje, niestety zakodowane w niezrozumiałych znakach.

Ogłoszeni z ciała, wręcz spopieleni, bohaterowie *Komedii* Samuela Becketta, mają w sobie zdaje się podobną wolę, tudzież potrzebę wyrazu, sformułowania siebie w słowach, nazwania wydarzeń i myśli. W pierwszej części dramatu K1, M i K2 opisują tę część życia, w której ich losy się splotły, mianowicie poprzez zwyczajny romans, historię dość banalną. Następująca, mniej więcej w jednej trzeciej utworu, zmiana perspektywy sprawia, że druga część *Komedii* w mniejszym stopniu dotyczy ziemskiej egzystencji, koncentrując się w głównej mierze na życiu pozaziemskim. Wypowiedzi, czego by nie dotyczyły, charakteryzuje przymus ich artykulacji, nie tylko wewnętrzny, ale i zewnętrzny.

Szybkie tempo mówienia podkreśla tkwiącą w bohaterach nadrzędną potrzebę – wyrażenia siebie, a może wyjaśnienia siebie, w obliczu przesłuchującego światła. K1, M i K2 chcą wypowiedzieć, jak najwięcej tylko mogą, świadomi, że niczego poza słowami nie posiadają. Dla ogłoszonych ze wszystkiego mówienie, opowiadanie, myślenie staje się przymusem, nie

¹ *Jarmark rymów*, [w:] J. Tuwim, *Dzieła*, Warszawa 1955.

stanowiącym jednak przyjemności albo ucieczki, raczej przykry obowiązek, podtrzymujący ich życie. Konieczność wypowiedzenia wydaje się charakterystyczna dla człowieka; nie tylko samo powstanie mowy, ale również istnienie sztuki zmusza do zauważenia, jak istotny to czynnik w procesie kształtowania świadomości zarówno jednostki, jak i społeczeństwa. Nie ma znaczenia, czy wyrażanie stanów wewnętrznych jest przyjemne czy nie; zamknięte we wnętrzu nie istnieje w pełni i, aby zaistnieć, musi zostać wydobyte na powierzchnię. Sztuka oczywiście wiąże się z cierpieniem i trudem; ból zapładnia sztukę, jednak w ostatecznym rachunku wypowiedzenie prawdy, znajdującej się w człowieku, powinno wyzwalać, a nie zniewalać. W *Komedii* jest odwrotnie. Stanowiące kluczowy element tożsamości człowieka – wyrażanie siebie, zniewala Beckettowskiego bohatera, skazanego nawet po śmierci na nieustanne opowiadanie o sobie, o swoim życiu. W dramacie przymus ten nie pochodzi z wewnętrznej potrzeby człowieka, ale spoza niego, co ciekawe, czyniąc go jednocześnie jedynym odbiorcą owej narracji. Oczywiście prawdziwe wypowiedzenie jest możliwe jedynie, gdy pojawi się ktoś, do kogo można je skierować. W sztuce okazuje się, że odbiorca nie jest tym, który empatycznie słucha, ale tym, który „wyciąga” zeznania i staje się owym przymusem wyrażania.

Niezwykle, że przesłuchujący, a więc ktoś automatycznie wzbudzający negatywne skojarzenia, jest zwizualizowany jako znak odczytywany w kulturze bardzo pozytywnie. W kulturze Zachodu bowiem światło nie tylko konotuje dobro, czystość i prawdę, ale również, a może przede wszystkim – Boga. Ponadto nie jest to gniewny i karzący Bóg, ale ten rozświetlający mroki, o którym w Biblii napisano: „Naród kroczący w ciemnościach ujrzał światłość wielką; nad mieszkańcami kraju mroków światło zabłysło” (Iz 9,1). W Nowym Testamencie również pojawia się podobna wizja Boga, w Pierwszym Liście św. Jana Apostoła można przeczytać, że „Bóg jest światłością, a nie ma w nim żadnej ciemności”. W wielu miejscach Biblii odnaleźć można podobne sformułowania, jednoznacznie utożsamiające światłość z dobrym Bogiem. Natomiast w *Komedii* światło padające na twarze podtrzymuje życie tych, którzy spodziewali się rozplnąć w mroku, a nie być widzianymi w nieskończoność; nie jest źródłem życia, a jedynie podtrzymuje trwanie komedii istnienia.

W momencie, gdy światło przestaje być światłem, a ciemność ciemnością, nie sposób pominąć narzucającego się skojarzenia z mistyką hiszpańską, a szczególnie z poglądami św. Jana od Krzyża. W ciekawy sposób korespon-

dują właśnie jego słowa z tekstem S. Becketta: „Światło bowiem potrzebne w świecie zewnętrznym, by się ustrzec od wypadków, jest zbytczne w świecie ducha, tam lepiej go nie widzieć – a dusza będzie miała większą pewność”. Dokładnie takie samo odczucie towarzyszy bohaterom (w szczególności M), którzy nie potrzebują światła – ciemność dałaby im względny spokój. W pewnym sensie, dla mistyka, ciemność prowadzi ku Światłości; w dramacie Becketta mamy sytuację odwrotną: światło prowadzi ku ciemności. Spotkanie z istnieniem pozaziemskim, którego bardzo ważną częścią jest światło (nie wiemy czy jest to Światło czy światło), nie rodzi wyzwolenia, ale rozczarowanie. Pragnieniem bohaterów nie jest poznanie światłości, ale rozplynięcie w mroku – w nicości. Znow przeżywają podobnie banalne życie, jak na ziemi, tylko że w zmienionej formie istnienia. Jak za życia bohaterowie nie umieli trwać „bawiąc się w najpiękniejsze zabawy”, tak po śmierci nadal pozostają zagubieni.

Bezbarwny głos daje odczuć, że w obecnej formie istnienia praktycznie wszystko straciło wartość dla bohaterów, a jedynie trwają w resztkę skierowanego na nich spojrzenia. Brak emocji świadczy o braku zainteresowania teraźniejszością i przeszłością, o której opowiadają. Można odnieść wrażenie, że nie czują związku z dziejami swojego życia, tkwi ono jedynie głęboko w pamięci i domaga się wyrażenia. Nie wiadomo dlaczego nie milkną, ale trwają w przerywanym nieustannie monologu; wydaje się, że do zawieszenia go zmusza ich światło, bo sami nie mogą przestać.

Znajdujące się w tekście aluzje do samobójstwa bohaterów trudno połączyć z przymusem wyrażania siebie. Dlaczego nawet po teoretycznym wyzwoleniu od istnienia, nadal nie mogą przestać egzystować? Znajduje się w tym nieokielznanym istnieniu pewnego rodzaju nadzieja albo przekleństwo. M, formułując przypuszczenie: „jestem o tyle tylko, o ile jestem... widziany”, podsuwa interpretację, że życie kończy się dopiero, gdy przestajemy być obserwowani. Oznacza to, że w każdej chwili możemy rozplynąć się w niebycie, ale równie dobrze możemy w innych formach trwać przez wieczność, tylko dla uciechy kogoś obserwującego... Jest to perspektywa niezwykle przerażająca, ponieważ człowiek nie ma wtedy najmniejszej szansy na ingerencję we własne istnienie – a targnięcie się na swoje życie może tylko przenieść go do bardziej nieprzyjemnej formy egzystencji (jaką wydaje się, mimo wszystko, bycie urną lub samo zamknięcie w niej; jeszcze bardziej bycie gadającą urną).

Z dalekich obszarów domniemanej egzystencji coś mimo wszystko przywołuje do ziemskiego, zwyczajnego życia... Niezwykły to czyściec, czy inna forma istnienia pozagrobowego, w którym tak niekontrolowany przejaw fizjologii, jak czkawka, nie pozwala na swobodną wypowiedź. Wyobrażając sobie tak wyjątkowy moment, jakim niewątpliwie byłoby przesłuchanie przed trybunałem światła – przyjmując je za jakąś nadrzędną formę egzystencji, kompromitacja sprawia wrażenie najgorszej z możliwych opcji. Decyzja dotycząca rzeczy ostatecznych – nieba albo piekła, powinna zapadać w podniosłej, niczym niezakłóconej, atmosferze. Przerwanie tak ważnej relacji przez mimowolny skurcz przepony! Przecież to istny koszmar... Taka myśl nie wydaje się bezzasadna, tylko straszny sen może połączyć te elementy: przesłuchanie przez światło i czkawkę. To zestawienie bardziej prawdopodobne jest w sytuacji, gdy policjant świeci latarką w twarz pijanego mężczyzny, leżącego na parkowej ławce w środku nocy. Łatwo wyobrazić sobie takiego biedaka, jak opowiada, pochylającemu się nad nim policjantowi, straszną historię romansu i odsłania piekło zgotowane mu przez żonę... Pijacka maligna w świetle policyjnej latarki? Tę wyszukaną wizję burzą didaskalia, opisujące sposób mówienia bohaterów jako bezbarwny. Może czterokrotnie czkający M staje przed trybunałem światła tuż po swoim samobójstwie, którego dokonał w stanie upojenia alkoholowego? Może śmierć nie przyniosła mu całkowitego otrzeźwienia świadomości i ostatnią częścią życia w jego ciele jest czkawka? Niewątpliwie czknięcie może idealnie pasować do komediowego stylu; taki niekontrolowany odgłos nie powinien zaistnieć w wyrafinowanej wypowiedzi w stylu „wysokim”.

Egzystencja jawi się bohaterom Becketta jako przekleństwo, dlatego zgadzam się ze sformulowaniem św. Augustyna, że „ludziom czasem przydałby się dzień wolny od życia”.

ISBN 978-83-935784-2-9



9 788393 578429